

M o j a s y b i r a c k a e p o p e j a

R o z d z i a ł I.

„ a r e s z t o w a n i e i d e p o r t a c j a ”

Luck, wrzesień 1939 r.

Wkreśliłi do nas, któregoś dnia po 17-tym wrześniu. Ludzie stali tłumnie na chodnikach. Polska policja granatowa, pilnowała porządku aż do końca. Po niespełnej godzinie, policjantów rozbrojono i odprowadzono do więzienia. Nikt nie sdał sobie sprawy z tego, że tych ludzi, żywych już nie ujamy.

Wkrótce otwarte szkoły i o dzieło, w mojej szkole powszechnej, wprowadzono polski język wykładowy.

Przenijały miesiące, silne niedostatki aprowizacyjne, dawały się bardzo odczuwać.

Mój ojciec, dawniej taki bardzo czynny, teraz nie wychodził z domu. Był uprzednio przodownikiem policji kryminalnej. Nie nosił nigdy mundura, może dla tego, uchwycił nam się do 16-go grudnia kiedy to otrzymał wezwanie do stawienia się na posterunek milicji. Uważał się za eszkowika który jest w porządku, więc zgłosił się. - Był to nasz ostatni kontakt z ojcem.

Przeszły smutne święta „ Bożego Narodzenia ” oraz „ Nowego Roku 1940-go. O ojcu nie mogliśmy dowiedzieć się niczego konkretnego. Nadzieja bardzo oczekiwana przez Polaków wiosna, ale na „ białym koniu ” jakoś nikt nie przyjechał.

Nad r^{an}o 13-go kwietnia, mój starszy brat Szesepan, stojący przez całą noc w kolejce po kilogram cukru, wpadł sadyszany do mieszkania. Budził nas okropną wiadomością, że wywożą z naszej ulicy. Wyrwani ze snu, mieliśmy za chwilę gości w mundurach. - „ Wasie adiewatsa niemiedlenno ! ” - Zrozumieliśmy, dosięgła nas deportacja. - Ta świadomość, prawie paraliżowała nasze ruchy i unyży. - Mundurowi działali sprawnie, za nas wrzucając do walizek i toreb oraz worków, odzież, bieliznę, zapasy żywności. Powtarzali przy tem często „ wasio wam prygaditsa ”. -

Za małe pół godziny, żądowano nas siłą na samochód ciężarowy. Na kolei, czekały wagony bydłoco, zwane „ ciepłuszki ” ,

Do każdego wagonu napchano po bardzo wiele rodzin, tłok niesamowity. Każdy wagon miał po dwie przycze w połowie od ściany do ściany, ale tobyło zbyt mało, aby wszyscy mogli się położyć. W jednych z bocznych drzwi (zasłanych) towarniaka, wypuszczono ukośną, śmierdzącą, grubą rurę, do sałatwienia się. Drzwi były stale zamknięte i zabezpieczone od zewnątrz. Nad górnymi przyczami, mieliśmy po jednym „małym okienku na świat”. - O te miejsca przy okienkach, były wieczna kłótnie. Wszystkim zależało nie tyle na wyglądaniu na świat zewnętrzny, ile na świeżym powietrzu. We wnętrzu, był przecieś maksymalny tłok ludzi, których ciała nie były myte, przez całą makabrycznie długą podróż. Rura kłopotliwa, stale była zajęta. Jedni drugich poganiali o przepięszenie sałatwienia się. - Niestety jak wiadomo, nie wszyscy ludzie mogą to zrobić szybko. Nie pomagało trzymanie przed delikwentem zasłonki intymnej. Niektórzy cierpieli przez całą drogę, nie mogąc oddać stolca a wszyscy przebywaliśmy w ciągłym saduchu. -

Przeżywaliliśmy zatem, jedną z form upodlenia esłowiaka. Gdy sen modył, ludzie układali się dosłownie w kratkę, t.j. korpus i głowa na cudzych kolanach. Z tym układaniem się, trzeba było spieszyć się z wieczora, aby jedynie względnie wolne miejsce, nie wypadło koło rury kłopotliwej, woniejącej niemilosiernie. -

Nasza rodzinka składała się z sześciorga osób : baboia 60-cio letnia dawna carska sybiracka, jej córka 29-cio letnia nasza kochana ciocia (również w dzieciństwie sybiracka) zastępująca nam nieżyjącą naszą mamę, 16-to letnia Nusia, 15-to letni Szczeban, 9-cio letni Micio, no i ja wówczas 11-to letnia smarkula.

Przez trzy doby, trwało usupeźnianie transportu w Żucku. W tym czasie, ludność miejscowa próbowała podawać nam żywność. Było to jednak trudne i ryzykowne, gdyż uzbrojona eskorta odganiała a nawet strzelała.

Nasza ciocia - mama, zanienogła poważnie na serce, traciła przytomność. Narobiliśmy skutecznego rabanu, wezwano miejscowego lekarza. Jego decyzja o konieczności hospitalizacji w Żucku, odrzucona została przez chorą, ze stanowczą motywacją konieczności opieki nad nami nieletnimi i baboią. Pozostała z nami ryzykując życiem. - Przez te dni nie podawano nam żadnej strawy. Sytuacja w wagonach, stawała się coraz trudniejsza.

Ruszył wreszcie transport z „Wołynia - krainy mlekiem i miodem płynącej”. - Ruszył w dalekie niemiare, przez Kiwercze, Równe, Zdobunów ku byłej wschodniej granicy państwa. Gdzieś koło

Ostroga, kasano nam się przesiąść do podobnych bydzących wagonów, tylko już naszerokim torze. Przy tej translokacji, skapaliśmy trochę świeżego powietrza. Jechaliśmy dalej przysiębieni i stępieni do tego stopnia, że nie interesowało nas, jaką trasę jedziemy.

Nocami, transport zatrzymywał się, na jakichś odludnych beznamicach. Odsuwano drzwi wagonów z wrzaskiem : -
„ dwadzieścia po abied, wziąć cztery wiadra ! ” -
Te otwieranie zasuw drzwiowej, przynosiało się do osęciowego oczyszczenia strasliwego saduchu, który nas gnębił w wagonach. Ludzie szczęśli chorować, lecz to nie interesowało obławę transportu. Pociąg włókł się dalej.

Któregośdnia przejeżdżaliśmy przez piękne góry. Ktoś potrafił odczytać wielką tablicę „ EUROPA-AZJA ”. - W wagonie wywołało to płacz i lamenty. Transport szedł dalej a w naszej świadomości utrzymywało się że „ jednak AZJA ”

Po dwóch tygodniach tej makabrycznej podróży, pociąg spore manewrował, po czym zatrzymał się nał dobre. Na szynach zrobiło się hałaśliwie, odsuwano drzwi z wrzaskami : „ wygrubajcie ! ” -

Był wczesny ranek 30-go kwietnia 1940 roku, oszołomieni, osłabieni i zasnani, wyładowywaliśmy się z obrzydłych bydzących wagonów na niesznany, całkiem piaszczysty teren. Tam dopiero zobaczyłam mnóstwo dzieci i młodzieży. Okazało się, że wraz ze mną, przyjechała prawie połowa mojej klasy. Tyle biednych dzieci ! -

Po kilku godzinach, zaczęły podjeżdżać ciężarówki, na które kasano nam się ładować. Przewieziono nas promem, na drugą stronę rzeki. Dzień zrobił się upalny a my fizycznie wyzerpani, na suche trawiastym stepie, urządzaliśmy koczowisko pod gołym niebem. Nareszcie mieliśmy tlenu pod dostatkiem. Noc była z kolei bardzo zimna. Ochronę przejęli uzbrojeni Kazachowie, którzy pilnowali nie tyle nas, ile stert chleba o dziwnych stałkowatych kształtach.

Nadszedł wreszcie upragniony cieplejszy ranek. W oddali na rzekę widoczne było miasto, a kąś dochodziły do nas odgłosy I-sze majowego święta.

Jak się okazało, był to Pawłodar nad Irtysem, a więc Kazachstan! -